

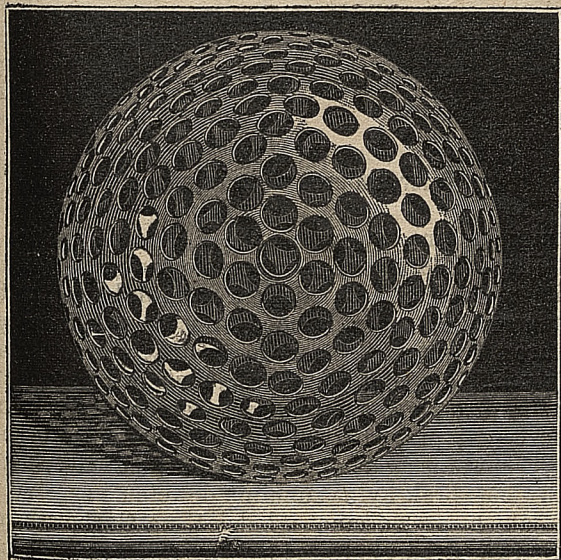


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Wyrób szkiełek do zegarków.

Wielu zapewne z czytelników naszych, posiadających zegarki, nie zadało sobie nigdy pytania, jakim sposobem się wyrabiają te ładne szkiełka, które tarczy zegarka wraz z wskazówkami osłaniają, chronią od kurzu i różnych przypadków. Dawniej, gdy zegarki były grube, pękate, jak cebule, wyrabiano poprostu kulki szklane dęte, nakształt baniek mydlanych, a rozcinając je na dwie połowy, otrzymywano

dwa szkiełka. Później jednak zegarki przybrały postać bardziej spłaszczoną, takie wydęte szkiełka były niewygodne, zaczęto więc wynajdować różne inne sposoby; wydymano na przykład duże bańki podłużne, a z dna takiej bańki wyrzynano dyamentem krążek lekko wydęty. Teraz wyrób szkiełek do zegarków jest bardzo wydoskonalony, a jak się odbywa, wskazuje dokładnie nasz rysunek. Wydyma się z masy szklanej duża bania, potem, gdy ostygnie, wyrzynają się z niej liczne szkiełka, jedno obok drugiego. Nie koniec jednak na tém: trzeba jeszcze potem każde z nich oglądnąć, nadać mu kształt najstosowniejszy; szkiełko takie powinno być prawie zupełnie płaskie pośrodku, a przy brzegach nieco zagięte. Są do tego foremki z masy ogniotrwałej, szkiełko umieszcza się w takiej foremce mocno ogrzanej, a gdy w skutek tego zmięknie, przybiera kształt żądany, daje się giąć i urabiać, według potrzeby. Rysunek nasz przedstawia olbrzymią bańkę szklaną, z której zręczny robotnik wyciął około sześciuset szkiełek, nie uszkodziwszy jęj wcale. Łatwo zrozumieć, że taka sztuka nie zawsze się udaje, zwykle też wyrabiają się do tego bańki znacznie mniejsze.

DO SOSNY

przez Sewerynę Duchińską.

Mieszkanko boru, uboga sosno!
Zkąd twe konary tak dzielnie rosna,
Że śmiesz unosić w obszar nieścigły
Czoło, ostremi zjeżone igły?

Powiedz, co tobie miłość mą jedna?
To, żeś bezbarwna, żeś taka biedna,

A przecież w górę poglądasz śmiało,
Jak ubogiemu patrzeć przystało.

Gdy cię dość ziemskie nie karmi łono,
Gdy w szczerym piasku twe stopy toną,
Sieroca dola nie zraza ciebie,
Więcej, niż z ziemi, ty czerpiesz w niebie!

Tobie promienie jutrzeńki niosą,
Rzeźwiący promień z wilgotną rosą;
A ty im hojnie odpłacasz za to
Twój krzepkiej piersi wonią bogatą.

A chociaż wichur zaszumi w borze,
O! tyś bezpieczna, on cię nie zmoże;
On wiernym druham długo był tobie,
On cię kołysał w dziecięcej dobie;

I hart niezłomny, ten piastun stary,
Wszczepił w żywiczne twoje konary.
Ty niby kmiotek w szarą siermiędze,
Co wiarą ziemskie odpięra nędze,

Patrzysz bez trwogi, jak liśmi miota
Po głuchem polu jesienna słota;
Bo wszakże zamieć tobie nie zdoła
Trwałego wieńca oderwać z czoła.

A wiatr, co z dębu strąca liść suchy,
Twój wianek stroi śnieżnemi puchy.

Gdy widzę ciebie, uboga sosno,
W piersi mi lekko, w duszy radosno;
Bo my, jak siostry, wzrosły przy sobie,
W piaskach Mazowsza zrodzone obie.

Razem nam słonko niegdyś zabłysło,
W cieniach ostrowiu nad białą Wisłą;
Równo nam ziemia, matka rodzona,
Rzeźwiącej rosy skąpiła z łona.

A my, wiedzione wspólną potrzebą,
Obieśmy w jasne spojrzwały niebo,
I obie, mocą woli wytrzymały,
Z wiarą ramiona w górę dźwigały.

Zielona sosno! za toś mi droga,
Że pierś twa nie wie, co znój, co trwoga;
Gdy wiatr pogwizdem zamieć ci wróży,
Wytrwałe czoło nadstawiasz burzy.

Choć biedna, w szarą odziana korze,
Rychlój grom jednak pierś twą rozporze,
Niż twe ku ziemi nagnie ramiona!

Zielona sosno, siostró rodzona,
Użycz mi siły. O! bo ty zdrowsza,
Ciebie wskroś przejął powiew Mazowsza,
W wiecznie zielonej swojej koronie,
On zaklął owe żywiczne wonie,

Które roznosi twój piastun stary,
Przez nadwiślańskie wiecznie obszary.

Gdybyż on kiedyś, goniec skrzydlaty,
I pieśń mą poniósł z chaty do chaty!

O! wszak on gotów: już skrzydły dzwoni,
Lecz ty mi użycz krzepiącej woni,
Technieniem żywicznym skąp moje słowo,
Niech w świat pobieży z słotą grudniową;

Niech u ogniska bratniej drużynie
Ożywczą siłą w głąb duszy wpłynie,
Niechaj na straży stanie u proga,
Siostró z Mazowsza, sosno uboga!

Unoś ty sama w górę wesoło
Śnieżnemi puchy ozdobre czoło;
Ja ci nie zajrzę wieńca na skroni,
Tylko żywicznej udzieli mi woni:

A z nią me pieśni ku niebu wzrosną,
Jak twe konary, zielona sosno!

KSIEGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

W drugiej połowie XVIII wieku, podczas wojny siedmioletniej, znaczny oddział wojska francuzkiego wyruszył przeciw Prusakom i stanął obozem w okolicy nadreńskiej. Nigdzie w pobliżu nie było słychać o siłach nieprzyjacielskich, lecz dowódca, margrabia de Castries, przez ostrożność wysłał w nocy na zwiady młodego oficera, na czele kilkunastu dzielnych żołnierzy, aby przetrzęśli okolicę. Młodziutki oficer, nazwiskiem kawaler d'Assis, puścił się śmiało na tę wyprawę i wyprzedzając towarzyszy, znacznie się od nich oddalił. I nagle ujrzał się otoczonym dokoła przez żołnierzy pruskich, przyłożono mu do piersi bagnety i wśród ciszy nocnej usłyszał wyszeptane nad uchem wyrazy:

— Jeśli się odezwiesz, zginiesz w tej chwili.

Kawaler d'Assis zrozumiał odrazu, że to jest napad podstępny na obóz francuzki, nieprzyjacieli, przez szpiegów zapewnione powiadomiony o przybyciu tego oddziału wojska, chciał niespodzianie wśród nocy rzucić się na nieprzygotowanych do obrony Francuzów, którzy ponieśli by niezawodnie straszną klęskę, gdyby się zamiar ten udał. Wszystko to w jednym mgnieniu oka przez myśl mu przemknęło, nie miał też czasu do namysłu i nie zawahał się wcale, lecz zebrawszy wszystkie siły, wykrzyknął, ile mu tylko głosu starczyło:

— Baczność! baczność! nieprzyjacieli się zbliża!

Jeszcze głos jego nie przebrzmiał w powietrzu, a już młody bohater padł bez życia, przebity licznymi ciosami. Lecz towarzysze usłyszeli przestrożę, dali natychmiast znać do obozu, wojsko francuzkie w porę broń chwyciło i odparło napastników. Uratowało je poświęcenie dzielnego młodzieńca, który za nic ważył życie własne, gdy szło o ocalenie współbraci.

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M....a

(Dalszy ciąg).

XII.

Honor i interes chrześcijaństwa.

Po turniejach nastąpiły szumne i huczne tańce i uczta. I znowu ujrzał Złoty pacholik pomalowanych, posnurowanych, niby w powietrzu stających w kabłąkowatych trzewczkach tancerzy i tancerki, choć w istocie uginających się pod ciężarem bogatych a ciasnych strojów, złotem i klejnotami pokrytych. Ale co go najbardziej zdziwiło, to rozmowy, jakie tu i owdzie pomiędzy tym szlachetnym i wielkim państwem posłyszał przypadkiem i zrozumiał po trochu, jako uczony wychowaniec garbowskiego kapelana. W rozmowach tych albowiem brak było zupełnie dowcipu i zręcznej wesołości, do jakich przyuczano młodzież na Garbowskim skromnym dworze, a za to słyszeć się dawały niezręczne i grubo żarty, jakich w Garbowie nawet służba nie używała między sobą, w obawie, aby jęj pan marszałek albo pani Zbrożkowa nie skarcili.

I zrozumiał znowu Jaśko z Dębinki, że prawdziwa wspaniałość i zachość, i piękność prawdziwa z ducha jest, a nie ze świecideł i blasków zewnętrznych, które mają zmysły leceć się marnościami bezdusznymi.

Z jakąż serdeczną rozkoszą zatem uśmiechnął się chłopak i łza brylantowa nawet nie wiedzieć czemu zaświeciła mu w oku, gdy pan Zawisza Czarny zbliżył się doń w tym tłumie i kładąc rękę na ramieniu, rzekł ze smutnym uśmiechem:

— No i cóż? czy nie szczerzej a zacniej walczyło się próbując siłą na garbowskim dziedzińcu? i nie miliej przysięga-

wywało, tańcząc z malutkimi panienkami, przytupując w wielkiej garbowskiej sali, pod okiem surowych „starych państwa?”

— O, panie mój — zawołał chłopak — nie mówiąc o twoich ani o moich rodzicach, a toż nawet Jadwisia umorusana miłszaby mi była w tej chwili, niż te świetne, umalowane a bezduszne damy; i nawet my pachotęta, niedoszli giermkowie, dzielniej a zwłaszcza z większą ochotą rycerską harcowaliśmy owego czasu, niż ci rycerze, wata wypchani pod zbroją, aby ich nie uciskała!

Złoty pacholik tak mówiąc o małym że nie splunął z obrzydzenia na tak wynaturzone rycerstwo, i tylko zasady uprzejmiej przyzwoitości, wpojone mu w rodzicielskim i na garbowski dworcu, powstrzymały go od tej manifestacji.

— Nie dawno tu jesteś, a już podobno tęsknisz za swoimi — powiedział dobrotliwie pan Zawisza — Otóż to widzisz, tak jest ze wszelkiem dobrem prawdziwem, którego nie umiemy cenić, posiadając, a utraciwszy tęsknimy za niem dopiero. Szlachetna prostota zawsze wyższą będzie od znikczemniałego przepychu. Bądź cierpliwym teraz, wrócimy do domu odechnąć po tych wspaniałościach, gdy tylko pozwolą zagajone tutaj sprawy; ujrzyś tedy znowu upragnioną ci umorusaną Jadwisę!

Pan Zawisza mówił z uśmiechem, bo dobrze wiedział, jak niekoniecznie upragnioną była Jadwisia jego giermkowi, a giermek też rozśmiał się na te słowa rycerza, który tymczasem mówił znowu po chwili:

— Nie wiem tylko, czy długo będziesz się mógł cieszyć z umorusaną Jadwisą, bo mnie, odkąd uniesiony podobnie jak ty duchem starożytnego rycerstwa, wdałem się pomiędzy królów i ich ludy, już oni odtąd nie dają spokoju i wołają napowrót do pracy, ilekroć chcę spocząć pod własną strzechą, a otóż wiedz, że za nic nie chciałbym teraz rozstać się z tobą, i pozwolę ci się opuścić dla umorusanej Jadwisi chyba tylko na krótki czas, gdy sam u rodziców gościć będę.

— O panie! szlachetny rycerzu mój! śmierć tylko jedna nas rozdzieli! — zawołał Złoty pacholik ze łzami, bo i w czarnych oczach pana Zawiszy błyszczało tęskne rozczulenie, pomimo że czarny rycerz mówił na pozór spokojnie, — ale gdy zawiodłeś się także, i wielki świat ten nie ma dziś uroku dla ciebie, czemuż nie mamy porzucić go i powrócić na zawsze na nasze rodzinne lasy i różane sady? Przecież gwałtem nikt cię nie zmusi troskać się tak ciągle, i pracować dla wszystkich, zapominając o sobie.

— Nikt nie zmusi, oprócz własnego słowa — pośpiej rzekł rycerz zadumany.

— Słowa?... — nieśmiało pytając powtórzył giermek. Rycerz ocknął się z zadumy i podnosząc głowę, a smutno spoglądając na młodego przyjaciela:

— Tak, niestety — rzekł — przed laty, gdy byłem nierozważnym młodzieniaszkiem, takim jak ty teraz jesteś, dzisiaj król Zygmunt, wówczas margrabia i domniemany król Polski, wjeżdżając do niej, zagościł chwilowo i tajemnie, skutkiem jednego ze swych zwykłych fantastycznych wyskoków, w Garbowie u rodziców moich. Był młody, świetny, miły, rycerski zwłaszcza, wyróżniał się wśród wszystkich, okazując mi przyjaźń serdeczną, i nawzajem zażądał mojej przyjaźni na życie całe. Ja już wówczas widziałem próżność jego, ale zdawało mi się, że przeważają w nim inne wielkie przymioty, rycerstwo nęciło mnie i sądziłem, że owszem należało mi korzystać ze sposobności, aby ustaliwszy wpływ serdeczny na potężnego króla, nakłaniać go ku szczęściu ludów: dałem więc słowo przyjaźni...

— O panie! jesteś więc z nim na życie związany!... — z przerażeniem Jaśko zawołał.

— Tak jest na nieszczęście — głucho rycerz poszepnął — na nieszczęście, bo przekonałem się już, że straszne wady jego potężniejszy nań mają wpływ odemnie; wiem, że on nie godzi się przyjaźni mojej, ale to przecież nie uwalnia mnie od danego słowa. Oto dlaczego trwam przy nim, lub wracam doń na wezwanie, a jedyną pociechą za nierozwagę młodzieńczą w tém znajduję, że bądź co bądź, przecież mogę

uczynić więcej tutaj dobrego na korzyść prawdy i sprawiedliwości, niż gdyby mnie wcale przy boku Zygmunta nie było. Czynię co mogę na stanowisku mojem, a resztę Bogu poruczam.

Taką rozmowę wiedli dwaj przyjaciele na świetnym balu dworskim w węgierskiej stolicy, w dniu turniejów, roku 1412, dopóki konieczność nie zmusiła giermka do wzięcia udziału w tańcach, wyręczając zbyt poważnego pana.

Po ukończeniu całego a zawsze świetnego programu zabaw dworskich, odjechał król Jagiełło z gościny wraz z Polakami. Zawisza Czarny dosyć był ze skutku dyplomatycznych swych prac zadowolony, bo król Jagiełło zgodził się spór swój dalszy z Krzyżakami nie orężem, lecz sądem polubownym zakończyć, a Zygmunt miał sędziego przedstawiać. Oczywiście nikt z pospolitych dworzan nie mógł wiedzieć o takich układach królów, lecz wiedział młody Jaśko z Dębinki i zaraz rzekł, znajdując się sam na sam ze swoim panem:

— Rycerzu mój, jeżeli masz dość swobody, bo o dobroci nie wątpię, aby mnie oświecać, jak to zwykł jesteś, to powiedz, czyliby owszem nie korzystniej było sprawę z Krzyżakami orężowi właśnie niż takiemu sędziemu powierzyć? Wszak po Grtunwaldzkiej potrzebie słusznie należałoby więcej ufać polskiemu orężowi niż królowi Zygmunтови, którego Krzyżacy zasilają pieniędzmi?

Zawisza Czarny, jak zwykle w krótkich chwilach spoczynku, siedzący nieruchomo, wyprostowany, z założonemi na piersiach rękami, przed ogniskiem, obrócił na ukochanego młodzieniaszka czarne, płomienne zapałem oczy:

— Dobrze rozumiesz, bracie młody — rzekł — tylko nie o wszystkim pamiętasz: zapominasz, że roku Pańskiego 1395 pod miastem Nikopolis zaszła ważna i krwawa bitwa, w której dowodził król Zygmunt Lnksemburczyk poczłom świętych rycerzy przeciw Bajazetowi, sułtanowi tureckiemu, i został pobity. W bitwie tej między innymi padł w obronie „wiary i chrześcijaństwa” polski rycerz Sasin, kasztelan wyszochradzki, walcząc dzielnie wraz z synem swoim Rolandem. Odtąd pojeśliśmy, czego wymaga po nas „honor i interes chrześcijaństwa”, odtąd czujemy, że rycerstwo polskie powinno zawsze i wszędzie stawać w obronie krzyża i wiary. Odtąd i ja, o ile w mojej jest możności, staram się godzić chrześcijan między sobą, po to jedynie, aby wspólne zjednoczone siły przeciw niewiernym Turkom, nieprzyjaciołom krzyża, zachować i zjednoczyć. W mojem przekonaniu, każda kropla krwi chrześcijańskiej, przelana w inną, jak w obronie krzyża potrzebie, grzechem jest, gdyż widzę oto wzmagające się niewiernych pogan zastępy, które coraz potężniej krzyżowi samemu grożą!...

Z szeroko roztwartemi, płomiennemi oczyma podniósł się nieruchomo, jak we śnie, rycerz Zawisza, wyprostowany, wlepiając oczy w wielkie ognisko, widząc w niem może przyszłe losy chrześcijaństwa i własne...

— Panie mój!... ocknij się! patrzysz, jakby śmierci w oczy!... — jęknął giermek, stając pomiędzy nim i ogniskiem. Zawisza Czarny wstrząsł się i siadł napowrót na wielkiem, twardem, o wysokim grzbiecie krześle:

— Dzieciaku! a cóż myślisz, czy może czekać mnie pożałowania godniejsza niż w obronie chrześcijaństwa śmierć? i ciebie, i każdego z nas — zapytał po chwili, przesuwając dłoń stwardniałą od szabli po białem, szyszakiem zawsze nakrytém czole. Giermek popatrzył nań uważnie i zamyślił się:

— To prawda! — rzekł po chwili z przekonaniem. I obaj rozweślili się i lekko stało im się na sercu.

Serdecznie to miły był ten wieczór dla rycerza Zawiszy i Jaśka z Dębinki, giermka jego, spędzony w gospodzie przydrożnej, w powrocie z Budy za królem Jagiełłą do Polski. Obydwaj przyjaciele jechali do domu z zamiarem wypoczęcia, jeden po trudach, a drugi po nudach przedewszystkiem, a wtém, nie dojechawszy jeszcze, otrzymał Zawisza Czarny nowy rozkaz królewski: Król Jagiełło na ów sąd polubowny ku bronieniu sprawy swego państwa wysłał do króla Zygmunta: Laskarego z Gosławic, doktora prawa kanonicznego, Pawła, syna Włodzimierza, słynnego prawnika, mistrza

dekretów Piotra Wolframa, i, Zawiszę Czarnego... Nie było tedy co się namyslać, dwaj przyjaciele spojrzeli sobie w oczy, i zawrócili na powrót do Budy węgierskiej:

— Otóż widzisz, Złote pachole, tak to jest ze mną ciągle, odkąd wdałem się w politykę, a wdałem się w nią mając lat piętnaście — powiedział Zawisza Czarny, na koni w powrotną drogę siadając. Złoty pacholik westchnął tylko i poszedł za rycerza przykładem. Westchnął, ale i uśmiechnął się przytém, acz smutno; nazwa Złotego pacholecia, dawana mu zawsze, mimo giermka godności, przez serdecznego pana, miłą mu była niezmiernie, gdyż przywodziła mu na pamięć serdeczne matuchny Beaty pieścizny, no i rozkoszne na dworze garbowski Złotego pacholecia figielki.

(d. c. n.)

WIDOKI KRAKOWA.

Kto widział stary gród Krakusa, z przyjemnością zapewne spojrzy na nasz rysunek, przedstawiający głównejsze jego gmachy. Pośrodku piętrzy się Wawel na skale, u góry widać Bielany i klasztor Norbertanek, u dołu bramę Florjańską i kopiec Kościuszki.

URLOP STRAŻAKA.

KOMEDYJKA ZE ŚPIEWKAMI W DWÓCH AKTACH

przez Zofię Haukową.

OSOBY.

DZIEDZIC.

ORGANISTA.

JAN, sołtys.

STANISŁAW, strażak } synowie Adamowej.

ADAMOWA, gospodyni.

JANOWA, żona sołtysa.

MARCINOWA, jej kuma.

JĘDRUŚ, wieśniak.

RÓZIA } wieśniaczki.

JADWISIA }

Chór wieśniaków i wieśniaczek.

Rzecz dzieje się na wsi niedaleko Krakowa.

Scena wyobraża wiejską okolicę; po lewej dom sołtysa i ławka, po prawej dom Marcinowej.

AKT I.

SCENA I.

JANOWA, później MARCINOWA,

(wychodzi z domu na lewo).

JANOWA.

Izba wymieciona, tatarakiem wysypana, obrazy w kwiaty przystrojone, barszcz i krupnik dawno się gotują, dalej więc z nowiną do mój kumy Marcinowej, a potem do sąsiadek. (*Stuka do drzwi domu Marcinowej*) Kumo, kumo Marcinowa! chodźcie no tu, mam coś pilnego do powiedzenia.

MARCINOWA.

Cóż takiego, o czymbyś jeszcze nie wiedziała?

JANOWA.

O, nowość wielką!

MARCINOWA.

Doprawdy? ciekawam.

JANOWA.

Otóż brat mężowski wczoraj późno wieczorem do nas zawitał.

MARCINOWA.

No proszę, myślałam doprawdy, że coś nowego usłyszę... niby to ja już o tém nie wiem.

JANOWA.

A któż wam powiedział?

MARCINOWA.

Powiedział... nikt nie powiedział. A własny rozum na có?

JANOWA.

Jednakże...

MARCINOWA.

A czyż psy wasze nie szczekały dziś w nocy, jak opętane? ja się przebudziłam, słyszę stuk, trzask waszemi drzwiami, pomyślałam zaraz: ot, pewnie syn przywedrował; dalej więc wyskoczyłam z tapczana, a że księżyc w same wasze okno świecił, pobiegłam i przez szybę widziałam, jak pocziwe matczyso ścisnęło dorodnego strażaka, rzecz oczywista, swego syna Stanisława.

JANOWA.

Zgadliście, kumo, odrazu. Oj, wielka u nas radość.

MARCINOWA.

Wierzę bardzo: było też oddawna tyle oczekiwania; wszakże od Wielkiej-Nocy codziennie Adamowa powtarzała: „Syn mój przybędzie w sam dzień Najświętszej Panny Zielnej.”

JANOWA.

Tak, dziś, ale nie wczoraj.

MARCINOWA.

Tém ci lepiej, bo już wczoraj gospodynie pokończyły niejedno pieczywo; mój cielak oczyszczony, sporządzony... szczyć się nim, że wygląda prawie jak wół. O, będzie coniemiar różnych mięsów, kielbas, kołaczy, placzków, istne okrzęzne. Przecież każda z nas chciała się przysłużyć pocziwej Adamowej, w dniu tak dla niej szczęśliwym... każdej matce daj Boże podobnego doczekać... Ależ ona przecież nic o tém nie wie?

JANOWA (zmieszana).

Prawdę powiedziawszy, pani kumo... widziacie...

MARCINOWA.

Widzę, widzę, że się wygadałaś... No proszę... te młode mężatki do niczego, kiedy nawet sekretu uchować nie mogą.

JANOWA.

Ależ, pani kumo, oddawna było tyle szeptów, gadania, krętaniny: przecież i ja coś w gospodarstwie przyrządzić musiałam; świekra się turbowała, jakby, całą wieś zaprosiwszy, mieć ją czém poczęstować; samibyśmy nie wydołali dla wszystkich... naturalnie powiedziało się niechcący, że cała wieś robi na ten dzień wielkie przygotowania, aby spożyć razem, na co kogo stać i zabawić się wesoło.

MARCINOWA.

Oj, niedobra! wszystkie szyki mi popsukał. Ja sobie tyle pracy zadałam, by tę ucztę ułożyć tak, aby wyglądała po pańsku, niby zniemacka... przecież służyłam we dworach, szczyć się tém.

JANOWA.

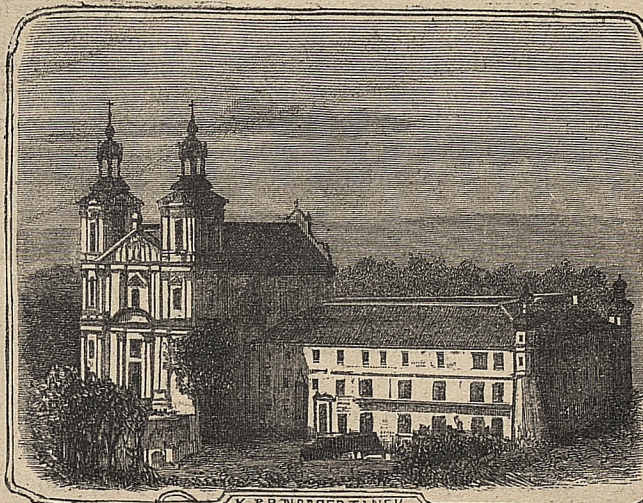
Nie gniewajcie się na mnie, kumo, bo chyba płakać będę ze smutku. (całuje ją w ramię).

MARCINOWA.

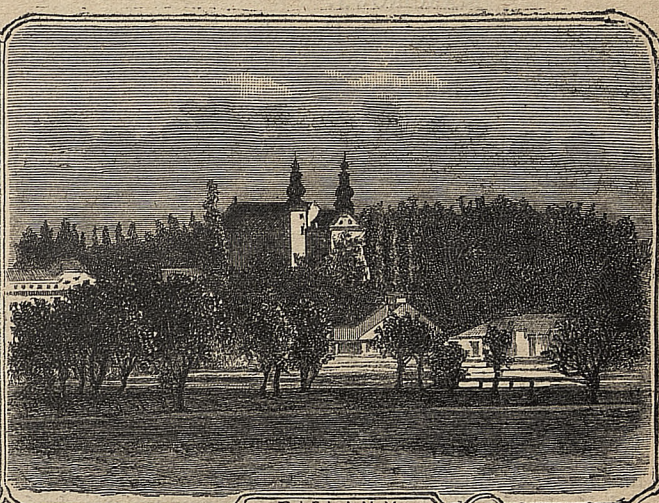
No, no, moja kotko, nie miałabym serca długo się na ciebie dąsać... wiesz, że cię kocham, jak własne me dziecko... wszak to ja cię za mąż wydałam, szczyć się tém.

JANOWA.

Istną prawdę mówicie, pani kumo; gdyby nie wy, niby z tego nie było; ktoby się był spodziewał, że ja, wiejska



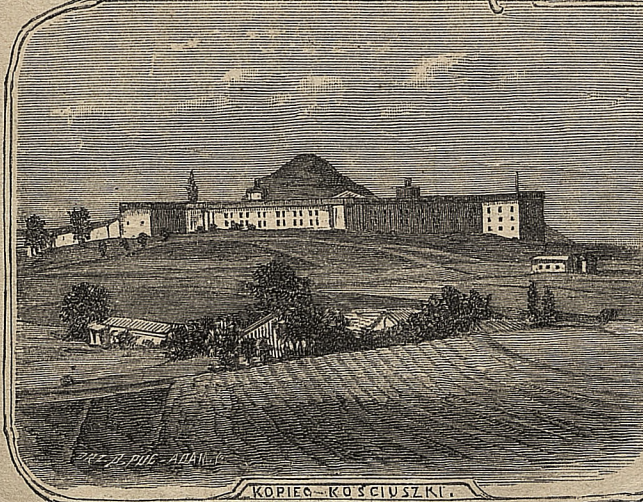
K. P. NORBERTANEK



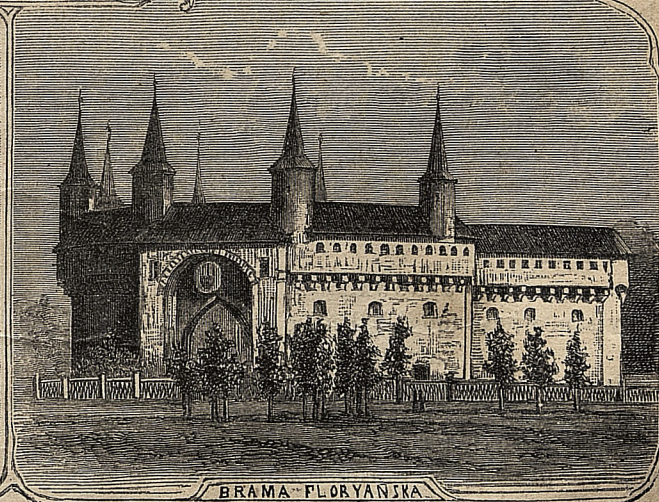
BIELANY



WAWEL



KOPIEC-KOSCIUSZKI.



BRAMA-FLORYANSKA

dziewczyna, pójdę za szewca warszawskiego... że ten szewc. tu się osiedli i zostanie sołtysiem... mój los wam jestem winna, pani kumo.

MARCINOWA.

Nieinaczéj, szczygę się tém. Prawda, że wówczas Jan pierwszy mi powiedział o zamiarach swoich względem ciebie, ale ja go w nich utwierdziłam.

JANOWA.

Jesteście moją dobrodziejką... Ale patrzcie... nowy nasz dziedzic tu idzie.

MARCINOWA.

Zdaje się pocziwa dusza... Panie, dodaj mu swęj łaski przenajświętszój.

SCENA II.

TEŻ SAME I DZIEDZIC.

DZIEDZIC.

Jak się macie, Marcinowa... Witam cię, Janowa... przychodzę odwiedzić twoję świekrę i zapytać, czy syn jęj dziś przybędzie?

JANOWA.

O, przybył już dziś w nocy.

DZIEDZIC.

Cieszy mnie to mocno... lubię dzielić szczęście moich włóścian... Ale gdzie Adamowa, bym ją powitał?

JANOWA.

Poszła z synem do księdza proboszcza, a ztamtąd do kościoła.

DZIEDZIC.

Nie rozumiem, jakim sposobem Adamowa umieściła swego syna w straży ogniowój.

MARCINOWA.

Oto, proszę jaśnie pana, Ewa, czyli dzisiejsza Adamowa, chociaż ztąd rodem, długo przemieszkiwała w Warszawie przed laty; będąc dziewczyną, służyła tak jak i ja u ś. p. poprzednich naszych dziedziców; nawinął się jęj szewczyk i poszła za niego. Adam miał sklep na Starém-Mieście, gdzie jednak, jak ludzie mówią, wielką biedę klepał.

JANOWA.

Ale był zawsze pocziwym człowiekiem. Szkoda, że dosyć młodo umarł.

MARCINOWA.

Wtenczas Adamowa porzuciła rzemiosło, i sklepik założyła z różnemi wiktuałami na Krzywém-Kole... żał się Boże... chciała swych synów wy kierować na rzemieślników, może na panów... ale nic z tego. Matka tak, dzieci siak; młodszy miał ochotę do żołnierki i wstąpił do straży ogniowój na ochotnika. Starszy zaś terminował na szewca; jednak, po wyzwoleniu, gdy się wybrał na wędrowkę i zaszedł do naszój wsi krewnych swych odwiedzić, gdy zobaczył ładną Dorotkę... odechciało mu się wracać do Warszawy.

DZIEDZIC.

Wierzę bardzo.

JANOWA.

Jużciéby tam wielki mógł być mieć zarobek.

MARCINOWA.

Ej, co pleciesz, niewiniątko! czyż ja nie znam Warszawy i jaśnie pan także? cóż tam szewc na Starém-Mieście zarobić może? jest ich tylu! A sołtys, chociaż we wsi jeden tylko, znaczy tyle prawie, co burmistrz w mieście gubernialném.

DZIEDZIC.

Nieinaczéj.

JANOWA.

Mądrze gadacie, pani kumo; z tém wszystkiém szczęście

było wielkie dla nas, że matka Jana zezwoliła na ślub jego, na przesiedliny i sama się do nas sprowadziła.

MARCINOWA.

Dosyć się biedaczka namarnowała w Warszawie. Zresztą ty, jedynaczko, miałaś posagu do tysiąca złotych... ojciec twój zaraz oddał Janowi prześliczne gospodarstwo... a czy nam wszystkim gospodyniom nie stać na trzewiczki? nie rachując jarmarków; tak więc jest i zarobek i znaczenie. Ale przepraszam jaśnie pana, może rozgadałam się zawiele... człeka język zawsze radby się obracał, a czas leci.

DZIEDZIC.

To prawda. Ja też idę do kościoła. Żegnam cię, Marcinowa, i ciebie, miła sołtysowo. (odchodzi).

MARCINOWA I JANOWA.

Do nóg upadamy jaśnie panu.

JANOWA.

A teraz skoczę do sąsiadek.

MARCINOWA.

Zostań lepiej w domu, ja cię wyręcę, chociaż wiem, że już wszystko gotowe; zajdę też do kamerdynera jaśnie pana, on układa sławną na dziś komedią... Oj, będzie zabawy wiele, nie napróżno bywało się we dworach... przy okazji Marcinowój na koncepcie nie braknie — ha, ha! pewnie chcesz wiedzieć co? ale nie powiem, nie powiem (odchodzi).

JANOWA.

O nie, wcale nie jestem ciekawa, wolę kuchni dojrzeć. (wchodzi do swego domu).

SCENA III.

RÓZIA I JADWISIA.

(Dziewczęta przychodzą, każda z innej strony, nie widząc się, mówią prawie jednocześnie, postępując zcicha ku domowi sołtysa).

JADWISIA.

Ciekawam, czy prawda, że przybył.

RÓZIA.

Muszę go najpierwsza wypatrzeć. (zbliżywszy się do domu sołtysa spostrzegają się).

DZIEWCZĘTA.

Ach, to ty!

JADWISIA.

Idąc do kościoła, chciałam wstąpić do Janowój.

BASIA.

Tobie nie po drodze... mnie to co innego, bo ja wracam odedworu.

JADWISIA.

No, to ja szczerza od ciebie, wyznaję, żem przyszła, aby zobaczyć Stanisława. Mówią, że jest już u matki, ciekawam, jak wygląda strażak warszawski.

RÓZIA.

I ja także.

JADWISIA.

Chodźmy pocichu do okna, może go wypatrzymy. (zblizają się do okna, wtém Janowa drzwi otwiera).

SCENA IV.

TEŻ SAME I JANOWA.

DZIEWCZĘTA.

(odchodzą prędko odedrzwi).

Ach!...

JANOWA.

Oj, dziewczęta, dziewczęta, zawsze ciekawe... Oczemście nie poszły do kościoła, byłybyście go tam zobaczyły.

JADWISIA.

Nie mogliśmy... byliśmy zatrudnione w domu.

BASIA.

Przygotowaniem różnych rzeczy na dzisiejszą ucztę.

JADWISIA.

Jeszcześmy wszystkiego nie skończyły.

JANOWA.

To bardzo źle, bo wkrótce zabawa i tańce się rozpoczną.

DZIEWCZĘTA (razem).

RÓZIA. { A czy zdrowo pan Stanisław przybył?

JADWISIA. { Czy długo tu zabawi? czy ładnie wygląda?

JANOWA.

O, nie obiedwie razem, bo nie wiem co której odpowiedzieć. A więc: przybył na dwóch nogach, które do upadłego będą dziś z wami tańczyć; wygląda dziarsko, jak żaden z naszych chłopaków, zostanie z nami dwadzieścia ośm dni... Ale cóż? z żadną z was się nie ożeni, bo mu się żenić nie wolno.

JADWISIA.

Co, zostanie starym kawalerem, jak pan organista? A to szkaradnie!

JANOWA.

Nie frasuj się o niego, Jadwisiu; za rok wyjdzie ze służby, a wtenczas zapewne się ożeni, jeśli mu się jaka dobra dziewczeczka spodoba.

JADWISIA.

A, to co innego.

JANOWA.

Zdaje mi się, że to on właśnie z matką nadchodzi.

JADWISIA.

Skoczę jeszcze do domu.

RÓZIA.

I ja także.

JADWISIA.

Wkrótce tu wrócimy z matkami. (wybiegają na prawo).

(d. n.)

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

— Hm... dziesięć przez trzydzieści, a to przez ilość statków każdego przedsiębiorcy... macie tu niezły zarobek trzeba przyznać...

— Ha, cóż, proszę pana, robi się co można dla interesu— odpowiedział Eddy.

Szliśmy tymczasem drogą, umyślnie nie najkrótszą, pomiędzy platformami, bo tak pokierował się ojciec wprost od portu, rzuciwszy okiem na wybrzeże, chcąc jak najlepiej rozpatrzyć się odrazu. Eddy nam towarzyszył, bo polubiliśmy się, ja byłem osłabiony trochę, a jego obowiązki były więcej honorowe niż czynne, jak się następnie przekonałem, nie żeby to mu miało ubliżać, Boże broń, bo to chwata chłopak, ale że jest bogaty, i dziaduś jego ma wielkie wpływy i znajomości, polecił go i powierzył swoim przyjaciółom w tych stronach dlatego tylko głównie, żeby mu odeszła rozpacz o tę piękność niezdolną, a wcale zakazał przeciągać obowiązki. Poprostu Eddy jest pieszczoł, co jego samego okropnie gniewa. Dowiedziałem się i przekonałem o tym wszystkim późniój dopiero.

Tymczasem szliśmy między strasznymi i strasznie niewonnymi górami mięsno-rybiego tłuszczu na platformach. Na szczycie tych gór stali ludzie opięto odziani i tak na wskroś przejęci lepkiem brudnym tłuszczem, że gdyby którego przycisnąć tak na przykład do ściany, toby się z pewnością do niej przykleił; każdy ma w rękach duży drag z klingą u dołu, jakby szpadą, co poprostu stanowi olbrzymie noże, i każdy obuty jest w buty o długich, ostrych ćwiekach pod podeszwą, aby nie ześlizgiwał się przy robocie na tych górach rybiego tłuszczu.

Wskoczywszy na wieloryba tego samego, który na chwilę przed nami przybył do portu, robotnicy ci, chodząc po nim z zabawnym wyciąganiem nóg dla owych ćwieków, zaczęli w mgnieniu oka wykrawać swemi okropnymi nożami z tego strasznego pojęcia olbrzymie pasy słoniny, najmniej już na pół łokcia grube a długie na kilka. Stosowne przyrządy chwytają zaraz te pasy i wloką je do kotłów (gdy ludzie je wprzód trochę pokrajają). W kotłach tam wre to, dymi, smaży się, a topi przytém, topi, aż ponapełnia straszne beczki, które pójdą w świat z tym tranem, a jak to przytém pachnieli... ach, jak pachnie... brrr!... Wątroby wielorybów, straszny ogrom tłuszczu, który łatwiej jest wyobrazić sobie niż opisać, topnieją na słońcu, dopóki są w najdoskonalszym stanie świeżości, a stan ten oczywiście, jak to u ryb, niezmiernie prędko przechodzi, i taki to olej rybi jest samym najdoskonalszym ekstraktem doskonałości w swoim rodzaju, i idzie do aptek. Z czém nie zdąży się za świeża na słońcu, to się topi na ogniu i mniej jest cenione.

A tymczasem na innych platformach inni robotnicy toporami i strasznymi narzędziami, niby młoty, rąbali, tłukli, i siekali inne wieloryby, odarte już z cennych części czyli „rozzebrane”. A inni jeszcze zajęci byli samym fiszbinem, na co jest zupełnie inny budynek i cały sposób postępowania odrębny. Odjawszy fiszbina od potworu, gatunkuje się go zaraz i pakuje. Ale gdy już wszystko co najcenniejsze odjęte jest od wieloryba, tedy reszta bez wyjątku rozbija się i miażdży do ostateczności, wszystkie odpadki ości, mięso, tłuszcz, wszystko razem wraz z odpadkami innych ryb pakuje się zmiażdżone we właściwych młynach na najzupełniejszą masę, i rozwozi na świat do „użyźnienia go” jako najwyborniejsze guano, i dla tej to ostatniej fabrykacji głównie przybywaliśmy w te okolice.

Oczywiście w takich wielorybich fabrykach potężnych, jak w Wadso, wyrób guana jest tylko dodatkowym, ale może ono być wyrabiane ze wszelkich ryb, gdzie jest ich nadmierna obfitość. Wiadomo, że „guano” właściwie i pierwotnie nazywano odchody ptasie tylko, ale dziś niektórzy utrzymują, że rybne odpadki przechodzą nawet ptasie co do doskonałości w użyźnianiu gruntu.

Wielcy przedsiębiorcy w Wadso najwięcej na tém zyskują, że nie u nich nie marnieje, ani odrobina tłuszczu, ani kawałek ości, umieją wszystko zużytkować. Ale jakich potrzeba do tego strasznych nakładów na maszyny, narzędzia i budowle, nie licząc już samych statków, parowców z terazniejszymi urządzeniami, o tém za długo byłoby pisać... choć ja sam mam to wszystko spisane, bo przecież po to właśnie tam byłem, aby takie rzeczy głównie notować i ojcu w tém poma-gać. Jaką to wszystko nieprzyjemną jest robotą, o tém niepotrzeba i mówić, ale najnieznośniejszą rzeczą przy tej całej manipulacji jest pośpiech, szalony a konieczny pośpiech, bo wiadomo, jak ryba niezmiernie prędko się psuje, a tu ze trzydzieści ogromów straszliwych czeka bezustannie na takie „sporządzenie” a statki drogo urządzone dowożą co godzina nieledwie nowe zapasy, a lato krótkie, a słońce wynagradza sobie zimowy spoczynek, przypiekając nieźle bez żadnej nocnej przerwy, a każda chwila naraża na stratę, bo co niewytopione za świeża, to mniej warte.

— Pfe! mój ojciec, to już ja wolę swój cukier, niż ten brzydki produkt! — powiedziałem do ojca. A on na to:

— Bardzo mię to cieszy, moje dziecko, że wolisz to, do czego cię odrazu przeznaczyłem, niż co innego; ale swoją

drogą trzeba nam i na to patrzeć, po co przyjechaliliśmy tutaj, bo nie tylko o ciebie idzie nam w tym razie.

Patrzyliśmy więc. Szczęściem, obok wszystkich listów i poleceń do samego właściciela głównej fabryki, mieliśmy i tego pocziwego porucznika, który sam więcej wart jest niż sto listów i z którym jestem też do dzisiaj w wielkiej przyjaźni i zapewne na resztę życia zostanę. Znał on się doskonale na wszystkich tutaj i wszędzie mię oprowadzał tak, że ojciec miał w ten sposób wcale niezłą ze mnie pomoc. Jest też Eddy wszędzie tu lubiany, bo dobry z niego chłopak prawdziwie i każdemu w pomoc przyjść lubi, gdy tylko może. Jest tu rybak jeden, ojciec siedmiorga dzieci, którego Eddy wyratował prawie z paszczy potwora, a jednego robotnika wyrwał z pod maszyny, która byłaby go zgmiotła niechybnie. Chwiał chłopak i bardzo dobry, tylko to nieszczęście, że taki ładny, jak panienska.

Ojciec śmiał się z tego, ale ja się nie śmieję, wchodzę zupełnie w położenie biednego chłopca, zwłaszcza co do jego narzeczonej. Przecież to naprawdę wstyd, dla marynarza szczególnie, być podobnym do panienki. A jeszcze we wszystkim ma przeszkody. Naprzykład, gdy już wszystkie rzeczy fabryczne ponotowałem w dodatku do notatek ojca, chciałem popłynąć na połów wielorybów na jednym ze statków, które raz po raz wypływały na „robotę” bo lato krótkie, kosza duże, korzystać trzeba, a noc nie przeszkadza w pracy:

— Dobrze! — powiada Eddy — i ja ciekawy tego jestem; popłyniemy razem. Mam ja wprawdzie służbę na pocztowym statku, ale od czegoż są dobrzy koledzy na świecie, zastąpią mię.

Poszliśmy tedy razem poprosić o pozwolenie dla niego do jego kapitana, a potem na statek wielorybiczny. Ale kapitan, bardzo grzeczny człowiek, skrzywił się poraż pierwszy jak go znałem i zaczął robić trudności: Odsyłał nas do dowódcy rybackiego statku, a ten znów napowrót po upoważnienie do niego. Ja wcale nie mogłem tych wykrętów, grzecznych zresztą, pojąć, i Eddy nie mógł połapać się z myślami zrazu, tymczasem rybacki statek odchodził, a i my nie mogliśmy przecież wiekować w Wadso... Wtém bystry Eddy (nie taki jak ja) przystępuje nagle do swego kapitana, wyprostowany, w żołniersko-marynarskiej postawie, i powiada, trzęsąc się z irytacji:

— Mój kapitanie!...

— Oo, mój podporuczniku?

— Czy niewolnoby mi było bez ujmy należnym względem zadać ci jednego pytania, kapitanie?

— Pytaj! podporuczniku!

— Oto racz mi powiedzieć, czy przeszkody, jakie mi stawiasz, pochodzą z „urzędu” i woli twojej, kapitanie, lub też... czy ty sam jesteś pod naciskiem „pewnych wpływów”?

Mały Eddy powiedział te słowa tak niespodzianie i tak rezolutnie, że sam kapitan zmieszał się i zaczął bąkać coś ni w pięć ni w dziewięć, ale to tak, że już i ja nareszcie zrozumiałem całą tajemnicę...

— A!... jeżeli tak, to trzeba mi było z góry to powiedzieć, a nie byłym uprzykrzał się kapitanowi! — rzekł Eddy i oddawszy ukłon wojskowy z należnym uszanowaniem, zrobił pół obrotu w tył i wynieśliśmy się hardo od kapitana, ale schowawszy się w kąt, zaraz Eddy zalał się łzami:

— To tak — powiada — widzisz, tak to jest zawsze ze mną, choćbym ja nie pod północny biegun, ale w samo głę-

bokie piekło poszedł, to i tam dziaduś miałby znajomych, i do samego Jego Najciemniejszej mości Lucypera znalazłby drogę i wniósłby za mną instancją, żeby mię trzymano jak w pudełku i nie narażano na zadrapanie albo przygniecenie paluszką... a potem pensyonarki nazywają człowieka lalusią!... ach! żeby to takie życie, i jedynactwo, i dziedzictwo, milion kroć sto tysięcy siarczystych bomb porwało!...

(d. c. n.)

Zagadnienie naukowe.

Dlaczego nożyczki są zimniejsze od drewnianego noża do rozcinania kartek lub drewnianej obsadki, chociaż leżą razem w tym samym pokoju, na tym samym stoliku?

SZARADA (Wikcia Z.)

Przymkiem jest pierwsza zgłoska,
Drugie rzeka znana włoska,
Trzecie czwarte jest to imię,
Które nosił papież w Rzymie.
Wszystko cesarz znakomity,
Laurami sławy okryty.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Wróbel i Bekas).

Z następujących zgłosek: a—ar—bo—buz—cy—dy—e—go—in—la—mi—mień—na—nar—pi—ra—rze—sa—się—sy—strat—ty—wie—wiec—zy—ułożyć wyrazy: 1. Miejsce zwycięstwa Greków nad Persami. 2. Sławny władca starożytny. 3. Naród w Azji. 4. Przedmiot ze skóry. 5. Liczba. 6. Owoc. 7. Kwiaty. 8. Roślina farbiarska. 9. Rodzaj deseni. Początkowe i końcowe litery, odczytane od dołu do góry, utworzą nazwy dwóch słynnych narodów starożytnych.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Homonomów:

Koło.

Łamigłówki zegarka:

Kraj—kawa—kran—ktoś—klon—kiwi—kura—kurd—koce—kloc—kruk—Kazi.

Jan Śniadecki.

TRĘŚĆ: Wyrób szkielek do zegarków (z drzew.) — Do sosny, wiersz p. Sewerynę Duchińską. — Księga pamiętnych czynów. Złote pacholę, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Widoki Krakowa (z drzew.) — Urlop strażaka, komedycja ze śpiewkami w dwóch aktach p. Zofię Haukową. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Obrażona Zosia (z drzew.) — Jakie pytanie, taka odpowiedź, wierszyk. — Wdzięczny Wojtuś. — Wypadek, p. C. Falkowską. — Królowa perłowego pałacu. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świdorską.

Obrażona Zosia.

— Zosiu! Zosiu! — wołała ciocia na małą dziewczynkę, która w tej chwili bawiła się w ogrodzie — Zosiu, chodź do roboty, już dziesiąta, a twój fartuszek zaledwie zaczęty. Biedna Różia nie ubierze się w niego nawet w niedzielę, jeżeli tak powoli haftować będziesz!

Zosia słyszała, że jej wołają, ale małe dziewczynki bywają czasem głuche w razie potrzeby, i teraz też Zośka, zamiast śpieszyć na ganek do cioci, szła coraz dalej w ogród, trzymając lalkę za rękę, a idąc, rozmawiała ze swoją córeczką tak głośno, że ciocia słyszeć ją mogła.

— Moja laleczko, pamiętaj nigdy nie mieć cioci, bo to bardzo nudne bywają osoby, wołają do roboty, nie pozwalają się bawić, każą składać swoje rzeczy, a co naj-



gorsze, zawsze wiedzą, która godzina, wypędzają spać o dziewiątej, chociażby byli goście, a o dziesiątej rano już czekają na nas z nawleczoną igłą.

Laleczka Zosi wysłuchiwała słów malutkiej mamy, i zdawała się bardzo zadowolona, ale z Zosią było inaczej. Im dalej odchodziła od ganku, tém smutniejszą się stawała. Zosia wiedziała, że ciocia słyszała jej słowa, i że jej wielką przykrość sprawiła niegrzeczność dziewczynki. Anioł stróż szeptał Zosi do ucha, że ciocia ją bardzo kocha, że jest sama na świecie, że jej nikt nie popieści, jak się Zosia na nią pogniewa, że w czasie choroby, ciocia siedziała przy niej dzień i noc, a zawsze w nagrodę za dobrą robotę opowiada prześliczne historie i anioł-stróż przekonał małego próżniaczka, który umiał być grzecznym i miłym.

Dziewczynka zdjęła śpiesznie kapelusz, posadziła laleczkę na ławeczce a sama pobiegła naokoło, zaszła pod cichu za fotel cioci, schwyciła ją za szyję, uściskała, ucałowała starą, ale bardzo ją kochającą ciocię, i w chwilę potem siedziała już mała Zośka z robotą, Anioł-stróż liczył ścięgi, haftowane na fartuszkach dla biednej sierotki, a ciocia pieściła dziewczynkę i opowiadała prześliczną historią o trzech krukach i o królewiczu.

Z. Bukowiecka.

JAKIE PYTANIE, TAKA ODPOWIEŹ.

— Dlaczego — pytał Jaś mały stróża
— Kogut, gdy pieje, oczy przymruża?...
— Bo nut nie znając, śpiewa z pamięci.
Jaś na to tylko głową pokręci,
Do grona starszych pobiegnie osób
I powie: — Wierzyć temu nie sposób,
Wszak prawda? — To jest trudne do wiary —
Odpowie chłopcu jakiś pan stary;
Lecz stróż miał słuszość, gdyż taka, Janie,
Bywa odpowiedź, jakie pytanie.

Ludwik Niemojowski.



Wdzięczny Wojtuś.

Wojtuś, mały chłopczyk wiejski, był sierotą, dziadunio chował go przy sobie i troskliwie się nim opiekował. Stary Walenty, dziadunio Wojtusia, był ubogi, niewiele też mógł zarobić, bo już sił nie miał, a jednak chłopczy nie na niczém nie zbywało, bo dziadunio wołał sobie czegoś odmówić, byle ukochany wnuczek miał wszelkie wygody. Na wsi zazwyczaj i dzieci muszą coś robić, wyręczać starszych, o ile potrafią, ale Walenty nigdy do żadnej roboty nie pędził malca, pozwalał mu bawić się od rana do wieczora z dziećmi bogatszych wieśniaków.

Raz wieczorem stary Walenty, powróciwszy z kosą z pola, siedział na przyźbie przed chatą, a Wojtuś strugał patyczki kozikiem, biegając tu i owdzie. Wtém nadszedł Jędrzej karbowy, także już staruszek, pozdrowił Walentego i zaczął z nim rozmawiać, a wyjmując tabakierkę z kieszeni, podał mu ją, mówiąc:

— A poprobuje no kumie, co to za dobra tabaka, wczoraj kupiłem w mieście, bardzo mi smakuje.

— Co dobra to dobra — powiedział Walenty, spróbował.

— Jak chcecie, to i dla was kupię — rzekł Jędrzej — pojutrze znów za interesem pańskim jedziemy do miasta. Dajcie jaką złotówkę, a będziecie mieli dobry zapas.

— Ja tam nie mam złotówki na takie zbytki — odparł Walenty — odzwyczaił się człowiek od tabaki, choć dawniej się zażywało, bo to widzicie, ot i ten biedny sierota na mojej głowie, a dziecko co raz czegoś potrzebuje, łatwiej staremu obejść się bez wszystkiego, niż dziecku.

— E, bo wy, kumie, psujecie zanadto tego malca — mówił Jędrzej — albo to mu potrzebny ten kozik, coście mu u Węgry kupili, a za te pieniądze byłaby tabaka.

— Żebyście widzieli, co to za uciecha była z tego kozika — odrzekł z uśmiechem stary Walenty — a już ja wolę patrzeć na uciechę tego dzieciaka, niż najlepszą tabakę zażywać.

— I, czy to taki malec wam się odwdzięczy...

— A czy ja dla wdzięczności to robię? — przerwał żywo Walenty — byle mi rósł zdrowo, to mi najlepsza wdzięczność.

Wojtuś niby to nie zważał na rozmowę starych, strugał pilnie swoje patyczki, słyszał jednak wszystko doskonale, a że chłopczyzna miał dobre serce, więc go słowa dziadunia bardzo wzruszyły. Kozik był śliczny, Wojtuś o mało nie oszalał z radości, gdy mu go dziadus kupił, w całej wiosce dwóch czy trzech chłopców tylko miało podobne, a jednak zaczął myśleć o tém, czy nie możnaby sprzedać gdzie kozika i za te pieniądze kupić tabaki.

Myślał, myślał, i przypomniał sobie, jak kilka dni temu Kasia, córka wdowy Józefowej, pokazywała mu śliczną złotówkę i opowiadała, że to pani ze dworu dała jej za jagody, bo jagód tych było dużo, Kasia zbierała je prawie przez cały dzień w lesie. Wojtuś zbierał nieraz jagody, ale sam je zjadał, nie przyszło mu nigdy do głowy sprzedawać je za pieniądze, pocóż mu były pieniądze? dziadus kupował sam wszystko co potrzeba. Teraz jednak nasz Wojtuś chciał koniecznie dostać złotówkę na tabakę dla dziadusia.

Na drugi dzień dziadus znowu szedł z kosą w pole na cały dzień, zabrał z sobą jedzenie, bo pole było daleko od jego chaty; Wojtusowi także zostawił trochę chleba, mleka, pieczonych kartofli i przypomniał mu, żeby drzwi zamknął, jak pójdzie bawić się z dziećmi, bo mogłoby bydłę jakie wejść do chaty. Jak tylko dziadus odszedł, nasz Wojtuś wziął duży dzbanek wyszczerbiony, włożył do kieszeni tyle chleba i kartofli, ile mógł pomieścić, napił się mleka, potem wyruszył do lasu.

Po drodze spotkał chłopaków, z którymi się zwykle bawił, wołali go i zapraszali, żeby szedł z nimi, ale Wojtuś odpowiedział, że nie ma czasu się bawić, bo idzie do lasu na jagody.

— Na jagody pójdziemy później — wołali chłopcy — a teraz mostek pobudujemy. W tym dołku obok ogrodu karbowego pełno wody po wczorajszym deszczu.

Wojtuś bardzo lubił mostki budować, aż westchnął, tak mu się chciało iść z chłopcami, ale nie wrócił i poszedł dalej do lasu. Tak pilnie zbierał jagody, że jeszcze słońce dosyć wysoko było na niebie, a on już miał pełny dzbanek. Poszedł prosto do dworu, pani pogłaskała Wojtusia, spytała, czy dziadus zdrowy, a potem wyniosła

mu ładną złotówkę, zupełnie taką samą, jak widział u Kasi.

Chłopiec był uszczęśliwiony, pocałował panią w rękę, włożył złotówkę do kieszeni, a wracając do domu, co chwila ją wyjmował i oglądał. Chciał zrazu oddać pieniądze dziadusiowi i powiedzieć, że to na tabakę, ale potem inaczej się namyślił. Wstąpił po drodze do karbowego, podał mu złotówkę i rzekł:

— To na tabakę dla dziadunia.

— Aha! — mówił Jędrzej — namyślił się stary; dobrze, dobrze, powiedz, że kupię.

Wojtuś pobiegł do domu i nic nie powiedział dziadusiowi, czekał cierpliwie, a na drugi dzień wieczorem przyszedł Jędrzej i powitawszy starego Walentego, podał mu zaraz paczkę z tabaką.

— A co to? — spytał ten ze zdziwieniem.

— No, cóżby było? tabaka, coście mi na nią ów złoty przysłali.

— Ja złoty przysłałem na tabakę? — pytał Walenty — chyba się wam przyśniło, kumie.

— A toż Wojtuś mi przyniósł wczoraj wieczorem i mówił, że na tabakę. Może się pomylił, możecie co innego chcieli kupić? A chodźno tu, Wojtuś.

Chłopczyk przybiegł rozpromieniony i rzekł:

— Bo to ja nie od dziadusia, ja od siebie wam dałem złoty na tę tabakę.

— Od siebie? — zawołał Walenty, jeszcze mocniej zdziwiony — a zkadże ci do głowy przyszła tabaka i kto ci dał złoty?

— Bo to ja wczoraj nazbierałem jagód w lesie i pani we dworze dała mi złoty za jagody; a wy, dziadusiu, kupiliście mi taki śliczny kozik, choć za te pieniądze można było tabaki kupić...

— Słyszał pewno, jakeśmy to mówili pozawczoraj — rzekł Jędrzej z uśmiechem.

Dziadus drżącymi rękami wziął chłopca za głowę, łącał mu się w oku zakręciła:

— A widzicie, kumie — mówił — wyście powiadali, że taki malec nie potrafi być wdzięczny.

— Pocziwe z ciebie dziecko, Wojtusi — rzekł karbowy — pamiętaj, abys zawsze był taki.

WYPADEK.

Mama ostrzegała nieraz Julcię, żeby nie wychylała się z otwartego okna. Nieposłuszna dziewczynka przestrogi mamy nie słuchała. Zabraniała mama także wychodzenia częstego bez potrzeby do kuchni; Julcia, nie lubiąc siedzieć przy robocie, co chwila wybiegała do kuchni, żeby posłuchać opowiadań służących, nie przyznających korzyści umysłowi. Niech tylko wszedł na podwórze żebrak i zaczął śpiewać, katryniarz, kościarka, już Julcia była w oknie.

Pewnego dnia zbliżyła się matka do okna, chcąc się przekonać, co tak córkę zajmuje, zobaczyła kościarkę wołającą:

— Kości kupuję!

— Czy cię zajmuje widok téj kobiety nieszczęśliwój?

— rzekła — którą może własne winy doprowadziły do nędzy. Nie odebrała dobrego wychowania, a przez próżniactwo nabyła złych nałogów, nie mogąc już za pracować, szuka wyżywienia w handlu kośćmi.

Czy myślicie, czytelniczki, że Julcia się poprawiła? Nie! aż doczekała się wypadku.

Według zwyczaju wychyliła się z okna, patrząc na dół, a rączkami zabawiając się skrobaniem muru, straciła równowagę i wypadła z okna. Pan Bóg nie dopuścił kalectwa lub śmierci Julci, i oszczędził wielkiego smutku jej matce; padając, zaczęła się jej sukienka o gwoździ na pierwszym piętrze, gdzie wisiał koszyk z produktami, kupionymi w mieście. Julcia straciła przytomność i bez ruchu tak wisiała parę minut, aż stróż przystawił drabinę, dziewczynkę zdjął i zaniósł do matki.

Ten wypadek może wpłynie na poprawę Julci, i posłuży za naukę dzieciom, które lubią przez okna się wychylać i czas drogi na próżnowaniu przepędzać w kuchni.

C. Falkowska.

KRÓLOWA PERŁOWEGO PAŁACU.

(Dalszy ciąg).

Wóz spuścił się wreszcie i zatrzymał na krużganku wspaniałego pałacu, pod śliczną kolumnadą. Jadzia aż wykrzyknęła z zachwycenia, nigdy jeszcze w życiu nic podobnego nie widziała: cały ten pałac zbudowany był z perłowej macicy, ściany i kolumny błyszcząły cudnie i migotały barwami tęczowemi, a wszędzie, i na ścianach, i na kolumnach, zwieszały się ogromne sznury pereł, powiązane w węzły ozdobne i festony.

Królowa perłowego pałacu wzięła Jadzię za rączkę i wprowadziła ją do przepysznej sali. I tu także wszystko było z perłowej macicy, obwieszone sznurami pereł tak dużych, jak orzechy. Sprzęty pokryte były lamą srebrzystą i puchem łabędzim obłożone. Dwóch malutkich karzełków, ustrojonych prześlicznie w sukienki srebrzyste z ozdobami z pereł, wybiegło naprzeciw królowej, kłaniając się przed nią aż do ziemi.

— Widzicie tę panienkę? — rzekła królowa do karzełków — ona tu zamieszka w moim pałacu perłowym, pamiętajcież słuchać jej we wszystkim, spełniać śpiesznie wszystkie jej rozkazy.

Dwaj karzełki ukłonili się znowu niziutko, i przed królową, i przed Jadzią i rzekli:

— Jesteśmy zawsze na rozkazy królowej perłowego pałacu i jej przyjaciół.

Potém odeszli, a królowa zwróciła się do Jadzi i mówiła:

— Rozgość się, dziewczeczko, w moim pałacu, oddaję ci tę salę na mieszkanie, ja jadę na daleką wycieczkę, aż do Indyj, bo tam teraz jest połów pereł, muszę dopil-

nować swojej służby, ażeby mi tam choć kilkaset wozów napowietrznych naładowano perłami, bo trzeba trochę pałac ten odnowić. Możesz tu tymczasem we wszystkim się rozporządzać, karzełki spełnią każdy twój rozkaz w jednej chwili. Weź ten sznur pereł, owiń go sobie na rączce, a jak tylko czego zażadasz, przelicz dziewięć perełek, dziesiątą zatrzymaj w rączce, zamknij oczki i powiedz: Słudzy królowej perłowego pałacu! śpieszcie, lećcie, przynieście mi to a to, i wymienisz rzecz, którą ci przynieść mają.

— A czy ja mogę żądać różnych pięknych zabawek? i oni to wszystko zaraz przyniosą? — spytała Jadzia, cała drżąc z radości.

— Możesz zażądać wszystkiego, co ci tylko na myśl przyjdzie — odrzekła królowa — oprócz jednej rzeczy: Nie żądaj mydła i słomek do robienia baniek, bo wtenczas cały ten pałac rozprysnie się, jak mydlana bańka, a ty utracisz tę czarodziejską władzę, którą ci w téj chwili nadaję i żadne twoje życzenie już się więcej nie spełni.

— Cha cha cha! — zaśmiała się Jadzia — miałabym też czego zachciewać, baniek mydlanych! Będę przecież mogła żądać najśliczniejszych w świecie rzeczy. O! pani królowo perłowego pałacu, jakaż pani dobra i kochana, jaka ja jestem szczęśliwa!

— Bywajże mi zdrowa, dziewczeczko — rzekła królowa, całując w czoło Jadzię, która jej ręce okrywała pocałunkami — baw się dobrze i pamiętaj, nie żądaj baniek mydlanych!

Królowa wyszła, a po chwili dał się słyszeć szelest skrzydeł łabędzi, które ją unosiły w napowietrznym wozie, Jadzia została sama. Zupełnie jej się spać odechciało, w pałacu perłowym było jasno, jak w dzień biały, wszystko migotało prześlicznie, Jadzia na chwilę zapomniała nawet o zabawkach, które miała sobie sprowadzać przez tych posłusznych karzełków i zaczęła się rozglądać po sali. Wnet jednak wzrok jej padł na sznur pereł, który królowa kazała jej owinać na rączce, uśmiechnęła się radośnie, chwyciła perły i zaczęła rachować. Na dziesiątą zatrzymała się, zamknęła oczki, pamiętała doskonale, co trzeba było powiedzieć, zawołała więc na cały głos:

— Słudzy królowej perłowego pałacu! śpieszcie, lećcie, przynieście mi lalkę, taką dużą, jak ja, i prześlicznie ustrojoną.

Jadzia była tak wzruszona, wymawiając po raz pierwszy czarodziejskie wyrazy, że serduszek jej biło, jak młotkiem, nie śmiała oczu otworzyć, lecz usłyszała szelest tuż przy sobie, więc po chwili otworzyła jedno oczko, potém drugie... i wykrzyknęła z radości, klaszcząc w rączki.

Karzełki stali przed nią, dźwigając we dwóch ogromną lalkę. Takiej nawet na owę prześliczną wystawie sklepowej nie było. Lalka ta miała na sobie pyszną suknię adamaszkową purpurową, złotem haftowaną, broszkę prawdziwą, zegareczek malusieńki z łańcuszkiem, kapelusz z dużym piórem; patrzała na Jadzię błękitnymi, szklanymi oczkami.

Dziewczynka chwyciła lalkę, którą ledwie unieść mogła, posadziła ją na ślicznej kanapce z perłowej

i sama przy niej usiadła. Oglądała ubranie lalki, obracała ją na wszystkie strony, nie mogła jej się napatrzyć. Po chwili przyszło na myśl Jadzi, że wartoby dla takiej paradnej lalki mieć osobne sprzączki.

— Ale nie chcę, żeby były z perłowej macicy — powiedziała sama do siebie — bo już i tak tego dosyć jest w tej sali, aż oczy bolą patrzeć. Trzeba coś innego wymyśleć. Aha! już wiem, na tém oknie stało śliczne krzeselczko złożone, czerwonym aksamitem pokryte.

I wzięła Jadzia czarodziejski sznur pereł do ręki, policzyła do dziewięciu, dziesiątą perłę zatrzymała, zamknęła oczy i mówiła:

— Słudzy królowej perłowego pałacu, śpieszcie, lećcie! przynieście małe sprzączki dla lalki, kanpkę, dwa foteliki, sześć krzeselczek, wszystko złożone i czerwonym aksamitem pokryte.

Już teraz przed jej oczki otworzyła, bo zaczynała przywykać do tych czarów, nie wykrzyknęła, nie klaskała w rączki, tylko uśmiechnęła się do karzełków, którzy ustawiali śliczne sprzączki, zupełnie takie, jakich Jadzia chciała. Usadowiła też zaraz lalkę na kanapce, ale spostrzegła, że purpurowa sukienka na takim samym prawie purpurowym aksamicie kanapki nie bardzo ładnie się wydawała.

(d. c. n.)

ZAGADKA (Malina z Siedlec).

Figlarny, wesoły,
I mruczy, i drapie,
Wskakuje na stoły,
Chodzi po kanapie.
Odgađnać łatwo,
Kto to jest, diatwo?

ROZWIĄZANIE DO N-ru 42-go.

Łamigłówni zgłoskowej:

Booz — Astry — Róg — Batum — Atu — Ren — Ararat.
Barbara — Zygmunt.

Skrzynka do listów.

Kukulkę i Bocianiczkę z nad Sanny przepraszamy bardzo, że liścików ich nie zamieszczamy, ale sami kochanym ptaszkom wyjaśnimy to, co je w takie podziwienie wprawiło. Osoby, które oceniały nadesłane robótki, stosowały sąd swój do wieku panienek, co jest najzupełniej sprawiedliwe; jeżeli więc panienska 8-letnia przysłała robótkę prawie tak staranną, jak inną panienski 13-letniej, to młodsza otrzymała nagrodę, a starsza tylko odznaczenie, chociaż robótką tej starszej była nawet trochę lepsza. Tak więc 8-letnie panienki, które nagrody otrzymały, nie powinny się zbytecznie

pysznąć, a 13-letnie, wzmianką tylko odznaczone, nie mają znów czego się wstydząć. Każda zrobiła jak umiała, każda też powinna być zadowolona, bo praca jej była pożyteczna. Ej, ta Bocianiczka musi mieć ostry dziobek!

Lew waale nie jest zapomniany w naszej redakcyi, serdecznieśmy się ucieszyli liścikiem, spodziewamy się, że nowo-nawiązana korespondencya utrzymywać się będzie bez przerwy. Ach, waka-cye! Przyjemna to rzecz dla każdego, szkoda, że raz tylko do roku przypadają. Łamigłówni wygląda na jakiś nowy dowcipny pomysł, zapewne niezadługo będzie wydrukowana. Bardzo też Lew jest uprzejmy, że wchodzi w położenie redakcyi i nie domaga się tego natarczywie, jak wielu innych korespondentów, którym się zdaje, że oni tylko łamigłówni układają.

Pokrzywa znowu gotowa przypuszczać, żeśmy przez jakąś stronność o jej robótkę nie wspomnieli, a może ta robótką była bardzo ładna. Nie możemy o tém sądzić, bo wcale rąk naszych nie doszła, pewnie przez jakąś okazyą była przysłana, bo paczki z poczty najporządniej odbierano. Dziewczynki, o które Pokrzywa zapytuje, pisują pod pseudonymami Kukulki i Bocianka z nad Sanny. Nr. żądany wysłano powtórnie.

Adę prosimy o cierpliwość, paczka odebrana, ale na odczytanie rękopisów nie było dotąd czasu, często też i miejsca braknie w Pisemku, ale kochana Ada jest tak rozsądna, że w położenie nasze wchodzi, nie wymaga rzeczy niemożliwych, a takim korespondentkom zawsze staramy się dogodzić.

Złożono dla ubogich dzieci od Bronisia kop. 25.

NOWE KSIĄŻKI.

D-ra Józefa Rostafińskiego Botanika szkolna dla klas niższych, z kluczami do oznaczenia 536 pospolitych roślin cena 1,20

„ Tegoż Botanika dla klas wyższych, cena 1,80.

Pielgrzymka do Częstochowy i Jerolimy, odbył i opisał Paweł Orzechowski, do druku poprawił Pisarz Gazety Świątecznej, cena kop. 25,

Tajemnice Magii, czyli zbiór wyjaśnień główniejszych sztuk i produkcji magicznych z 80 rysunkami cena kop. 50.

Historia o czterech młodzieńcach i Treny p. Jakóbowi Strusiowi. Napisane p. Marcyana Kobiernickiego, nieznanego pisarza z XVI wieku. Wydał Kazimierz Gieysztor.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI

Leonii Rudzkiej

dawniej Herman.

Przyjmuje uczennice stałe i przychodnie, prócz nauki zapewnia opiekę i konwersacyą obcych języków.

Zapis uczennic odbywa się przy ul. Zielnej Nr 7 i Wielkiej Nr 42.

Nauczycielka.

Posiadająca dobrze francuzki, niemiecki z konwersacyą i przedmioty klasyczne, udziela lekcyj. Mazowiecka № 10. Wielko-czory rodzinne.